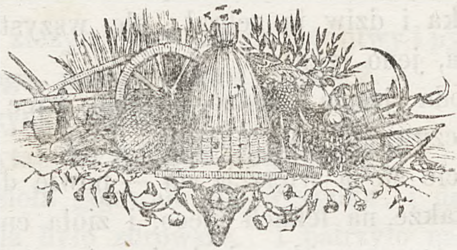
Tom IX. Nr. 5.

11. Sierpnia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZŁOTA GWIAZDKA.

Legienda.

Jest taka legienda o dziewczynce ze złotą gwiazdką.

Jużci wiedzą to ludzie, iż każde dziecko ma swego anioła stróża, który go chroni od złego, od wszelkiego przypadku i nieszczęścia. Otóż dawnymi czasy stało się, iż pewien aniołek stróż zabaczył swoje dziecię, które upadło i okrutnie okaleczało, i już nie było prawie rady dla niego na ziemi.

Matka dziecięcia rozpaczała okrutnie, a dziecko cierpiało srodze.

Naonczas aniołek stróż wymodlił sobie u Boga Ojca pozwolenie, iżby mógł zejść na ziemię i ratować biedne, chore dziecię.

Skoro na ziemi stanął aniołek, stał się wnet dziewczynką młodą. Była to biedna dziewczynka, w biednem i lichem ubraniu — ale za to dziwnie piękna była, niby malowanie najcudniejsze.

I przyszła dziewczynka do domu matki dziecka chorego i zapukała.

— Kto tam i czego? — pyta otwierając niewiasta.

— Biedna sierota, która służby szuka i chce wam pomódz chodzić koło dziecka chorego — odpowie dziewczynka.

Patrzy matka i dziw ją zebrał, ale wszystkiego pomiarkować nie mogła, jeno rzekła:

— Zaś młoda jesteś bardzo i słaba, więc nie dla ciebie praca i ciężkie czuwanie koło chorego.

— Nie bójcie się a wierzcie mi — powie dziewczynka — gdyż znam się także na lekach nieco, i zioła cudowne znaleźć umię, a nawet i teraz znajdę, choć zima jest i śniegi.

— Więc zostań przy nas — rzeknie niewiasta, i już bardzo rada była dziewczynce.

Przyszły więc obie do dziecka chorego, które nigdy prawie spać nie mogło z wielkiego bolu. I mówi dziewczynka do matki:

— Połóżcie się spać, boście zmęczeni, a ja czuwać będę koło dziecka.

Matka zasnęła, a dziewczynka pogłaskała dziecko rączką, i także zasnęło.

Kiedy matka obudziła się, widzi iż dziecko spi i uśmiechnięte jest, jakby mu dobrze było. Zaś dziewczynka rzecze:

— Pójdę po zioła.

Śnieg był na dworze wielki i zimno, a dziewczynka biedna poszła w las. I nie było jej dzień cały, a wieczorem przyszła znowu, i ziół przyniosła pęk cały, a zziębnięta była i pokrwawiona, bo z pod śniegu i lodu dobywała zioła.

Jęła dziewczynka przyrządzać i gotować zioła a potem obudziło się dziecko chore, i dała mu napić się. A dziecko uśmiechnęło się wesoło, i nie płakało już ani troszkę, lecz niebawem znowu zasnęło.

Rzecze wtedy niewiasta do dziewczynki:

— Mojaśty miła i dobra! Oto trudzisz się dla dziecka mego, więc spocznij sobie nieco, a już ja czuwać będę.

I dziewczynka zasnęła. A wówczas nad czołem jej zaświeciła gwiazdka złota. I ujrzała to niewiasta, i zdumiała się bardzo, a potem klękła przed dziewczynką i modliła się rzewnie.

I ocknęła się niebawem dziewczynka, a gwiazdka zbladła i znikła, zaś na twarzy dziewczynki była jasność wielka i święta.

Niewiasta złożyła ręce jak do modlitwy i pyta dziewczynki:

— Na Boga, powiedz, ktoś ty jest?

A dziewczynka odrzekła:

— Nie pytaj, bo dziecko zbudzisz.

I znowu zioła gotowała dziewczynka, i dała pić dziecku, a ono co chwila było zdrowsze. I patrzyło na dziewczynkę, i rączki do niej wyciągało i uśmiechało się wesoło.

Dziewczynka chodziła po zioła i gotowała je dziecku, i było tak długi czas.

Naostatek wyzdrowiało dziecko zupełnie.

Więc razu jednego kiedy spało, stanęła dziewczynka nad niem, i modliła się długo. I pocałowała dziecię i znikła.

Weszła matka do izby, i zdziwiła się okrutnie, że dziewczynki nie było przy dziecku, bo nigdy nie odchodziła je samo. I ujrzała nad kolebką gwiazdkę złotą, która bladła ciągle i już zniknąć miała.

Wtedy obudziło się dziecko chore, i wstało samo zdrowiuteńkie, złożyło rączki i modliło się.

Zaś gwiazdka złota znikła, i nie pokazała się aż znowu na niebie. I co wieczora szukało ją dziecię na niebie i wyciągało rączki do niej, a już przez całe życie modliło się do swego anioła stróża, i było zacne a bogobojne jako mało.

Taką to legiendę o dziewczynce ze złotą gwiazdką rozpowiadali mi ludzie pobożni.

Modlitwa
do Anioła Stróża.

Aniele stróżu mój święty w niebie!
Proszę ja ciebie:
Chroń mnie od złego święty aniele,
W Bożym kościele.

*

Chroń mnie od grzechu, co duszę brudzi
I serce studzi,
Chroń mnie od myśli, która zle rodzi
I cnotę zwodzi.

Dużo miłości daj mi dla kraju
Aniele z raju,
Dla mej Ojczyzny o bardzo dużo,
Stróżo mój, stróżo!

I dla mych braci daj serce chętne,
Wdzięczne, pamiętne,
I dla ofiary daj chęci żywe,
Chęci uczciwe.

Aniele stróżu wołam do ciebie
Stróżu mój w niebie!
O bądźże na mnie miłościw Panie,
Święte kochanie.

Szukający śmierci znalazł żonę,

czyli:

Historya o Kubusiu Bałabajce, który dziwnym przytrafunkiem wyszedł na porządnego człeka.

Z dawnych lat nie było w Krowichwostach takiego lenia i nieroby jak Kubuś Bałabajka, którego cała wieś przezwała Bałabajczym nicponiem. Kubuś byłci chłop nieprzymierzając jak dąb zdrów i silny; pleczyska miał szerokie niby tok w stodole, karczydło jak u wołu karmnego, a ręce, to już chyba niedźwiedzie łapy mogły być tęższe i silniejsze. Zawsze zdrów, rumiany, a także nie żaden brzydal; jużci i zmyślny był chłopisko, i serce miał nie złe, jeno że leniuch jakiego w całej Polsce poszukać.

Zaś wszystkiemu była winna matka. Miała ci ona jednego tylko Kubusia, więc to dla niej był także skarb najdroższy, z którym obchodzić się nie umiała. Zamiast go pokierować na pracowitego i rozumnego człowieka, jak chciał zacny ojczysko,

psuła matka Kubusia małego pieszczotami i wygodami, chroniąc go od wszelkiej mitręgi i biedy, aż urósł z tego chłopisko niezdara, z którego cała wieś się naśmiewała. Póki matka żyła, więc dla świętego spokoju dawał stary Bałabajka spokój synalowi, i jeno czasami pokryjomu dał mu jakie smarowanie na pamiątkę; lecz kiedy biedne matczysko zmarło nareszcie, już nie można było cierpieć dłużej takiej niezdarności.

Otóż jął ojciec najpierw łagodnie a po dobremu namawiać Kubusia do różnej pracy, a kiedy to nie wiele pomagało, więc coraz częściej smarował mu paliczką grzbiet szeroki. Zaś Kubuś tak przywykł do tego, że się jeno poskrobał, a potem najadł i znowu po staremu leniuchował. Widząc stary Bałabajka iż trudna sprawa z chłopczyskiem, tak sobie pomyślał:

— W domu z tego nic nie będzie, więc go nagonię, niech trochę zazna biedy na świecie, a wnet przywyknie do pracy.

Niebawem zawołał Kubusia, i dał mu jakąś robotę. Kubuś drapał się najpierw okrutnie w czuprynę, medytował długo jak się wziąć do tego, a naostatek dla lepszej medytacyi położył się w siano i zasnął. Nadchodzi ojciec, aż tu jeno rozlega się od chrapania Kubusiowego. Weźmie ci więc stary buczka do ręki, i zacznie go mierzyć do pleców synala. Kubuś w krzyk okrutny, a ojciec powiada:

— Ano leniu, nierobo, a idźże sobie wnet i niech cię już nie widzę.

Obłożywszy go porządnie, napędził ojciec Kubusia nie na żarty, i dawszy mu starą sukmanę, sierp i bielizny nieco wygnał het z chaty.

Tego się leniwy Kubuś żadną miarą nie spodziewał. Otóż najpierw rozbeczał się, a potem postanowił, iż życie sobie odbierze, bo już nań ostatnie przyszło nieszczęście. Poszedł z tem do lasu. Nałaziwszy się dość różnemi strony, zabłądził na piękne, i ani rusz wyjść w pole. Więc nowy lament i płacze, a iż okrutnie zgłodniał, począł zbierać jagody. Naostatek szedł znowu tak może kilka mil lasami, i wyszedł na pole jakieś. No, tu już pewnikiem znajdę śmierć — powie Kubuś i ruszył na pole.

Las był na górze, a jak Kubuś stanął na brzegu lasu, ujrzał w dole łany ze zbożem, i żeńców gdzieniegdzie. Położy się więc na brzegu i patrzy. Niebawem usłyszał jakieś śpiewanie, i ujrzał na jednym łanie dziewcząt kilka, co bardzo pilnie dożynały żyta. Zaś jedna dziwnie mu się podobała, i ta ujrzawszy Kubusia zawołała:

— Patrzajta dziewuchy, a to zaś co takiego?

Zaczną dziewczęta przypatrywać się Kubusiowi, a jedna zawoła do niego:

— Hej człowieku, a zkądeśta się tu wzięli?

— Z lasu — huknie Kubuś.

— Owa! może wilkołak — zakrzyknęły dziewczęta.

— Gdzie zaś — woła on — toć ja Kubuś Bałabajka, co mnie tatuś wygnali z chałupy.

Dziewczęta poczną się śmiać i pytają:

— A cóżeś ty Bałabajko zbroił takiego?

— Zaś abo ja wiem — huknie Kubuś — ot nieszczęście na mnie przyszło, i idę szukać śmierci.

Dziewczęta zaczęły się na to śmiać, aż im świeczki w oczach stanęły, a Kubuś wyśmiany i zawstydzony nie wiedział już sam co zrobić ze sobą.

— A kiej szukasz tej śmierci drągalu — wołała na niego Kasia Wojczanka.

— A wiesz ty jak śmierć wygląda — pytała znowu ze śmiechem Anusia Borówna — i tak mu każda coś dogadywała, tylko jedna nic nie mówiła i nie śmiała się, a to Zosia czarnobrewa, która na Kubusia smutno jakoś patrzyła. Widząc, iż mu tak dziewuchy dogadują, i że on sobie rady dać nie umie, zawołała nakoniec:

— Ej dziewczęta, a nie widzita że on sobie z was kiepkuje, i tak wam gada jeno na śmiech, aby potem ośmiać was żeście mu uwierzyły. Otóż mądralu musisz nam za karę snopki poznosić i ułożyć w półkopki.

Dziewczęta uwierzyły Zosi, a Kubuś taki jej był wdzięczny za on ratunek, iż byłby jej Bóg wie co zrobił na podziękowanie. Więc kiedy mu kazała snopki nosić i składać, chwycił się jak nigdy jeszcze w życiu całem, i tak ci uporał się

prędziuchno a zwinnie, iż dziewczęta zgoła się już nie śmiały z niego ale nawet dziwowały.

Otóż nadszedł i wieczór, a na pole ono wyszedł gazda Szymon Brzoń, ojciec Zośki, u którego było właśnie żniwo. Zobaczywszy Kubusia zastanowił się i pyta:

— A zkądeśta dziewuchy przypytały sobie tego robotnika?

Więc zacznie Zośka rozpowiadać, iż nadszedł z lasu, i jął bałamucić przed dziewczętami, więc mu dały za karę robotę.

Pyta więc Szymon Kubusia:

— A zkądeśta mój miły, widno nie tutejszy?

— Jużci nie tutejszy ale z Krowichwostów — powie Kubuś.

— Ho! ho! powie Szymon — toć to pięć mil dobrych od nas. A gdzież to Bóg prowadzi? czy może za robotą?

— Jużci tak — powie Kubuś zaczerwieniwszy się.

— Czyż ta u was nie ma dostatek roboty? pyta Szymon.

— Ech czemu nie — mówi Kubuś zakłopotany — sam tatuś mają ładny grunt, ale....

— Ale co — pytał Szymon ze śmiechem — pewnieś chciał świata zobaczyć, he?

— Pewnikiem — mówił Kubuś zwijając się koło snopków.

Niebawem skończyli, a Szymon zaprosił Kubusia na wieczerzę i nocleg, także mu mówił, iż jak zechce, będzie mógł i tutaj znaleźć robotę.

Ucieszył się bardzo Kubus, bo właśnie przemyśliwał, jakby to zostać gdzie niedaleko Zosi, która mu dziwnie przypadła do serca. Zośka także rada była, bo jej się dość podobał Kubuś, i widziała wnet, że dobrym sposobem można będzie z niego zrobić człowieka.

Otóż patrzajta co się stało.

Ów niezdarny Kubuś, którego ojciec kijem nie mógł nagnać do pracy, zapomniał wnet całkiem o swojem lenistwie. Stanął niebawem za parobka u Szymona, i tak ci się zwijał, tak chętnie pracował, że go wszyscy za najpilniejszego wychwalali. Szukanie śmierci ani mu do głowy nie przyszło, zaś tylko nad tem myślał, jakby tu wyszukać sobie sposób na to, aby Zosia została jego żoną.

Było tak aż do późnej jesieni. Ojciec Kubusia wysłał dziada Porfirego na wyszukanie syna, i aby się popatrzył, co się z niego stało. Dziaduś przyszedł do Malinówki, gdzie mieszkał Szymon, i rozpatrzywszy całą sprawę, powiedział to i owo Szymonowi, a potem wrócił do Krowichwostów i tam ojcu Kubusia wszystko dokumentnie rozpowiedział. Stary ojciec ucieszył się bardzo, i czekał co dalej z tego będzie.

Tymczasem Kubuś rady sobie nie mógł dać, tak się rozmiłował w Zosi. Aby się podobać jej, pracował jak wół, i niebawem polubił także pracę, bo przekonał się, że to rzecz potrzebna i użyteczna dla każdego człowieka.

Zosia patrzała na wszystko także z uciechą, bo jej ojciec rozpowiedział gadkę dziada Porfirego, i całą historyą o Kubusiu, jak on się poprawił i wyszedł na uczciwego człeka.

Otóż razu jednego w niedzielę właśnie chodził Kubuś cosik strasznie sturbowany i nie swój, a miejsca sobie w chałupie znaleźć nie mógł. Pyta go naostatek Zośka:

— A co ci to dziś takiego?

— Oj Zosiu — powie Kubuś — wszyćko to twoje czary.

— Święta Matko Chrystusowa — zawoła Zosia żegnając się — a co ty nie wygadujesz na mnie, alboż to ja czarownica czy co?

— No juźci czarownica — mówi Kubuś. A toć napatrzyłem się na tyle dziewcząt różnych, i nic mi nie było; zaś skoro jeno ciebie zobaczyłem, więc od razu mnie już bieda naszła, i już nic mnie nie zabawi, niczego nie chcę, tylko aby ciągle patrzyć na ciebie. Toć dla tego patrzenia dziwy się ze mną porobiły. Wszak ci ja byłem taki leń i hultaj, że mnie cała wieś z tego znała, a tatuś własny wygnali z chałupy; zaś aby się tobie podobać, to już od pół roku pracuję jak wół, i zda mi się, że nie potrafię już być porządniejszym parobkiem. A ty sobie kiepkujesz jeno, i kiedy mnie kochanie wielkie zbiera i tęsknica za tobą, to ty się naśmiewasz ze mnie. O Zosiu! kiejbyś ty wiedziała jaka mnie naonczas okrutna żałość ściska za serce, tobyś ty się pewnie nie śmiała.

Zosia pokraśniała dziwnie, i widno było z oczu, że jej żal biednego Kubusia, ale jak to zazwyczaj dziewczyna, aby nie

pokazać co się jej dzieje, zaczęła pośmiechiwać się znowu i mówi:

— Ej Kubuś, a to co? a czyś ty zapomniał owego szukania śmierci, kiejś pierwszy raz zaszedł do naszej wioski?

— Oj, nie zapomniał nie — zawoła Kubuś i chwyci ją za ręce — ale ci powiadam dziewczyno, że się ze mną tak stało, jak stara Wojciechowa mówiła o Jacusiu Bisiurze, iż szukający śmierci znalazł żonę. A co może nie, powiedz Zosienko moja?

Zosia pokraśniała na nowo, i uśmiechnęła się, a widząc że Kubuś dziwnie pięknie ją prosi, rzekła w końcu:

— Może i tak, albo ja wiem. — Potem wyrwała się i uciekła do chaty.

Kubuś uradowany zebrał się wnet, i poprosiwszy o pozwolenie Szymona, wrócił do starego ojca. Rozpowiedziawszy mu wszystko pięknie, prosił o wysłanie swatów do Zosi. Stary ojciec nie był od tego, a Szymon także nie przeciwił się, więc niebawem nastąpiły zmówiny, a już w tegoroczne zapusty było wesele.

Takim to sposobem moi mili znalazł Kubuś żonę, i takim sposobem wyszedł z hultaja i lenia na porządnego człeka. Powtarza on też zawsze, iż to zrobiło z niego kochanie i Zosia. I tak też było na prawdę, choć to rzecz trochę dziwna.

Stary Bałabajka okrutnie się cieszył ze wszystkiego, a na weselu to już z wielkiej radości rady sobie dać nie mógł. Otóż widząc jak młodzi tańcują i śpiewają, powie im:

— Hej! hej! co to u was dziś za śpiewanie. Pamiętam ci ja całkiem inaczej za moich młodych czasów, kiedy to była wojna z Moskalami za pana Skrzyneckiego. Byłoć także wesele Stefana Kisza, a tamci ja drużbowałem jemu, a wnet potem szedłem na wojaczkę. Więc przy tańcu tak śpiewałem mojej drużce — Zosiu! pójdź no tu, to ci pokażę. Chwycił stary Zosię, i stanąwszy przed muzyką, zaśpiewał:

Mojaśty malino
Otóż ci zanócę:
Kiej zbiję Moskala.
To znowu powrócę.

A więc zahulamy
Sobie raźno wtedy,
Kiej ubędzie z głowy
Turbacyj i biedy.

Matko Przenajświętsza,
Chryste Jezu miły,
Bodaj się to polskie
Szabliska święciły;

Nasze karabiny
I kosy i szable,
Któremi Moskali
Bijema tak djable.

Hej! dziewczę, dziewczyno,
Więc i cóż ty na to?
Zaś czy pożałujesz
Ty za moję stratę?

Widzi mi się jednak
Że nie wiele pono,
Bo ci już serduszko
Twoje ukradziono.

Tak śpiewał stary Bałabajka. Zaczęli więc sobie starsi przypominać na młode lata, opowiadać o wojaczkach dawnych, boć to z Krowichwostów sławni zuchy i bardzo ochoczy do wojenki. Więc i śpiewki różne przypominali sobie, aleć ja sobie nie zapamiętałem wszystkich, i dla tego wam tutaj powtórzyć nie mogę.

CIEKAWA HISTORYA O CYGANACH,
co oni zrobili we wsi pewnej.

Wstyd to okrutny, aż żal się przyznać, że u nas jeszcze panuje taka wiara w czary, co to jest rzecz przeciwna religii świętej i boskim przykazaniom.

Do nauki mało, a niechętnie biorą się ludzie po dziś dzień; gospodarze nie chcą do szkoły posyłać, powiadają: „*co chłopu po nauce?*“ A tymczasem właśnie przez to, że nauki nie mają, to lada oszust co choć trochę ma lepiej od nich w głowie, wyprawia z nimi co mu się tylko żywnie podoba.

Otóż na przykład macie taką historyę. Z rankiem jednego dnia ku wsi Aniołowu, podeszła gromada cyganów, kilku mężczyzn z rozczochranym włosem, okrytych płachtami brudnemi, kilka kobiet także brudno ubranych i obszarpanych; dwie z nich dźwigały dzieci, a jedna najstarsza szła przodem jakby całej bandy jenerał. Drobne cyganiątka skakały koło bandy, i za spotkaniem którego z mieszkańców Aniołowa, krzykiem niezrozumiałym wrzeszczały wyciągając ku nim ręce.

Znacie dobrze bandy cygańskie, włóczące się od wsi do wsi. Mężczyzni niby to trudnią się robotą kowalską i ślusar-

ską, ale co kobiety, to prawdziwe próżniaczki i wydrwigrosze; wróżą, tumanią, oszukują jak tylko mogą, i dla tego to, kiedy kto nieprawdę mówi czyli łże i oszukuje, to go nazywają cyganem, a całą tę sprawę cygaństwem.

Owóż jak tylko banda cygańska usadowiła się na kilkodniową stójkę pod Aniołowem, zaraz cyganki rozbiegły się po wsi i zaczęły od chałupy do chałupy gonić, wróżąc, cyganiąc i wszelkie swoje odbywając praktyki. Najstarsza znów cyganica, poszła do karczmy, kazała sobie dać kieliszek wódki, a ujrzawszy tam kobiecinę, której z oczu patrzało, że nie gardzi gorzałką, więc ją też zaprosiła.

— Dobrzeście zrobili — rzecze owa niewiasta, biorąc za kieliszek, żeście przyszli do naszej wsi, bardzo się tu przydacie, bo niejedna radaby i wróżby posłuchać, niejednej krowy nie chcą mleka dawać, bo je czarownice pozamawiały; psoci nam tu bardzo, a wy poradzicie na wszystko. Widząc cyganka, że baba lubi dużo gadać, poczęstowała ją jeszcze raz i drugi, a ta jej opowiadała wszystko co tylko wiedziała, o wszystkich mieszkańcach wsi. Tego też tylko trzeba było cygance, tu miała dobre żniwo, bo wiedząc o wszystkiem, łatwo mogła dużyć ciemnych włościan. Wreszcie jej baba rzecze:

— O moiściewy, żebyście wiedzieli jaką tu u nas jeden gospodarz ma turbacyą!

— A o cóż to takiego, spyta cyganka.

— Oto widzicie, oboje młodzi jeszcze ludzie i nie mają dzieci, a bardzoby mieć radzi. Co się też ono biedne chłopisko nie nachodziło z babą po różnych odpustach, i na msze i na ofiary dawali, i Bóg wie co robili, gdzie tam nic na to poradzić nie mogą.

— Ba, co im tam pomogą modlenia, rzecze cyganica; żeby mi co dali, tobym im poradziła.

— Oj, co dadzą, to dadzą, bo bardzo bogaci.

— Bogaci! — zawoła cyganka, a czarne jej oczy aż się z chciwości zaświeciły. No, to dobrze, ja ich pocieszę; pokażcie-no mi tę chałupę, rzecze cyganka, ale nie powiadajcie żeście mi o tem mówili, boby się potem czary nie udały.

— Oto tam, rzecze owa niewiasta, pokazując cyganicy porządną chałupę. Idźcie tam na śmiało, to się okrutnie ucieszą.

Cyganka zabrała się żywo i pobiegła ku chacie, którą jej pokazała owa kobieta. Wszedłszy do izby, ujrzała oboje gospodarzy śniadających.

— A co wy chcecie — mówi gospodarz.

— Czy nie potrzeba wam powróżyć — zapytuje cyganka.

— Dajcie mi spokój — rzecze gospodarz — co nam tam po wróżbie.

— Możeby nie szkodziło — odezwie się gospodyni.

— Dajcie rękę, dajcie — rzeknie cyganka, chwytając za rękę gospodynią, wróżba nikomu nie szkodzi, a dopomódz może.

I nim kobieta mogła rękę cofnąć, cyganka jej poczęła prawić szybko jak na pytlu:

— Ho, ho moja gosposiu! wam się dobrze wiedzie, macie i dostatek, rodzi wam się w polu, chłopa macie bardzo uczciwego, nie pijaka, robota w ręku mu się pali, za innemi nie patrzy.

Gospodarz uśmiechnął się z radością na te pochwały.

A gospodyni słuchała z okrutną ciekawością.

— Wszystko wam dobrze idzie — prawiła dalej cyganka — ledwie że tylko braknie ptasiego mleka, ale ta kreska co leci od serdecznego palca, to powiada, żeście i tak nie są szczęśliwi, i że wam jednej rzeczy niedostaje.

— Czego? — spyta gospodarz.

— Czego?! — krzyknie gospodyni.

— Dzieci! — zawoła cyganka — dzieci nie macie, a to wam żywot truje.

— Oj prawda, prawda — rzeknie gospodyni, a łzy jej zaświeciły się w oczach. Gospodarz westchnął okrutnie i milczał.

— Ale żeście też sobie do tego czasu nie poradzili na to, mówi cyganka.

— A i cóż, chodziliśmy po odpustach, modliliśmy się ciągle, ale nic nie pomaga.

— A cóż kościół albo xiądz na to poradzi; ja wam bym prędzej poradziła, żebyście mieli dzieci.

— Już ja nie pożałuję wam matko kilku złotych, tylko poradźcie — prawi gospodarz.

— Ja dam zboża, kaszy, ziemniaków, omasty, ino poradźcie — mówi gospodynia.

— Przyszykujcież wszystko co trzeba, a ja dziś z wieczora zaraz zrobię czary.

— A nie będzie to grzechem i obrazą Boską?

— Ej, ej, coby miało być, toć sobie chłopaka ochrzcicie w kościele i przekonacie się, że djabeł w nim nie siedzi.

— Ha, no to przyjdźcież po południu.

— Naszykujcie tylko sporo mąki żytniej, a będzie dobrze.

Gospodarze uczęstowali cygankę, a ona obiecała przyjść po południu.

Jakoż i przyszła. Z naszykowanej mąki zagniotła dużą bryłę ciasta, i z niej ulepiła jakoby chłopczyka małego. Przytem szeptała i spluwała i różne cygaństwa robiła dla złudzenia głupich. Wreszcie wyrobiwszy dziurę w brzuchu onego dziecka z ciasta, rzecze: Teraz ja pójdę, a wy weźcie pieniądze jakie tylko macie w domu i włóżcie do brzuszka; brzuszek zalepić, wynieść do komory i w ciemności aż do jutra wieczora zostawić.

Zabrała się i poszła, zostawiając gospodarzy w wielkiej niecierpliwości, bo radzi byli ażeby te 24 godzin jak najprędzej przeszły.

Drugiego dnia wieczór wchodzi cyganka i pyta co się dzieje.

Nie wiemy, bośmy nie byli — rzecze gospodyni.

— Trzeba się przeświadczyć, czy nie poczęło ciepleć — rzecze cyganka, gdzie jest?

— Tam w komorze.

— Dobrze, ja pójdę zobaczyć, i wymówiwszy jakieś nieznajome słowa, wbiegła do komory, a za chwilę wyszła mówiąc: Dopiero się rozgrzewa od nóżek; aby zaczęło żyć trzeba na to jeszcze dwóch dni i dwóch nocy. Po 48 godzinach pójdziecie pod drzwi komory i usłyszycie jak zapłacze. Potem trzeba je skąpać, ja to sama zrobię; po kąpieli wy do chrztu,

a ja w świat, tylko mi przyszykujcie co łaska z pieniędzy i strawy, żeby moja praca nie była za darmo.

To powiedziawszy poszła.

We dwa dni rodzice sprosili znajomych, stoją podedrzwiami i słuchają rychło dziecko zapłacze. Gdy przecież nic nie było słychać, odważyli się wejść. Patrzą a tu figura leży jak ją cyganka ulepiła, i tylko ciasto obeschło.

— A to nas cyganka oszukała — rzecze gospodyni.

— Czekajno, trzeba zobaczyć czą są pieniądze. Więc porywają owe dziecko z ciasta i w kawałki targają, a tu ani grosza nie ma.

O święty Boże! — zawoła gospodarz — tu było 500 złotych!

Więc do cyganów, a cyganie jeszcze w nocy umknęli, a włościanie swoją ciemnotę i niechęć do nauki przypłacili krwawo zapracowanym groszem i wstydem przed wszystkiemi sąsiedniemi wsiami.

Daj Boże, aby takie zdarzenie już nigdy więcej drukowane nie było.

Piotr Nolaska.

Rozmowa xiędza proboszcza z radnym,

o dawaniu jałmużny i żebrakach.

Wychodząc xiądz pleban ze swego podwórza na pole, spostrzegł jak radny ze wsi Jędrzej, opodal dawał jałmużnę żebrakowi. Doszedłszy go, po pochwaleniu Pana Boga i wzajemnem przywitaniu, tak się do niego odezwał: Miłosierni jesteście na ubogich, bo nie tylko w domu, ale i na drodze rozdajecie jałmużnę.

Radny. Boli mnie serce dobrodzieju, gdy widzę żebraka, bo mi wtedy zawsze na myśl przychodzi: co jemu dziś, to mnie jutro.

Pleban. Prawda, prawda, miły Jędrzeju! najbogatszy człowiek w jednej chwili może przyjść do żebranego chleba; widok ubogiego powinien nas do pokory pobudzać. Ale nie

dla tego samego trzeba przybywać z pomocą bliźniemu, jak wy mówicie: co jemu dziś to mnie jutro. Chociażby człowiek do samej śmierci był pewien dobrego mienia, nie ma zamykać ręki przed wołającym o pomoc. Miłość bliźniego nakazuje nam być miłosiernym.

Radny. Oj prawda, to święta prawda.

Pleban. Trzeba być miłosiernym, lecz to miłosierdzie musi być zastosowane do potrzeb ubogiego, a nie zawsze ubogi nawijający się potrzebuje chleba lub grosza. Nasi tak zwani żebracy mają wcale inne potrzeby.

Radny. Toć oni o to tylko proszą, czego potrzebują; a czego potrzebują, o tem oni najlepiej wiedzieć muszą.

Pleban. Takby to być powinno, miły bracie! ale tak nie jest! Z każdym dniem wzrasta liczba żebraków. Sąć oni żebrakami, bo żebrzą; nie wszyscy przecie żebrać powinni, a prawdę powiedziawszy, żaden.

Radny. Jakto zaś?

Pleban. Każda wieś przejęta miłością bliźniego, powinna zaopatrywać miejscowych ubogich, i nie cierpieć tego, aby się obcym naprzykrzali gminom. Swój swego zna przecie najlepiej. Nie potrzebujący jałmużny człowiek nie ośmieli się żebrać w obcej wsi a swoi mu nic nie dadzą, wiedząc że on żebrać nie powinien, bo może pracą rąk swoich zarobić na dostateczne utrzymanie. Takich leniwców należy napędzać do pracy, tego oni potrzebują i to napędzanie ich do pracy najlepszą dla nich będzie jałmużną.

Radny. Ha! dobrodzieju! któżby tam z nimi przyszedł do końca; człek daje z dobrego serca, jeśli oszukują, to oni za to Panu Bogu odpowiedzą.

Pleban. Obcy was tylko oszukać może, a gdy każdy w swej wsi będzie musiał pozostać, to was nikt nie oszuka. A jaki to dobry uczynek naprowadzić błądzącego brata na prostą drogę! Macie przykład na tym Szymonie. Toż on o kulach chodził, jąkał się tak, iż go rozumieć nie było można; wyłudzał jałmużnę, a gdy się wykryło, że był złodziejem i zakazano mu po wysiedzeniu kary wychodzić ze wsi, to teraz zdrów na nogi, choć go nikt nie leczył, i mówi jak się przy-

należy, i pracuje na swoje utrzymanie. Wieluż to jest takich udanych żebraków. Powiedz im: pracuj! to ci odpowiedzą: nie mogę roboty dostać; daj im robotę, to ci uciekną — nie przesadzam ja nic. Zachowaj Boże, z doświadczenia to mówię.

Radny. Wszystko to prawda dobrodzieju, albož ten żebrak com mu teraz dał jałmużnę, lepszy? ale nie dać, to przeklnie człowieka, więc dałem chociaż wiem, że on to zaraz przepije w karczmie.

Pleban. Więcby lepiej było, żeby nie włóczył się po cudzych wsiach, tylko żeby go własna gmina utrzymywała, jeśli wcale niezdatny do pracy. Wtedyby miał przyodziewek i jadło, aleby na pijaństwo nie dawano grosza i nie byłoby obrazy Boskiej, boć się spodziewać należy, że pod chrześcijańską opieką takiby się człowiek poprawił.

Radny. A jakby to z nimi zacząć dobrodzieju?

Pleban. Jak? wsie mają sołtysów; sołtysi schodzą się co miesiąc na narady; niech się też i nad tem naradzą. Najgorzej zacząć, to już pójdzie dalej. Co się mnie tyczy Jędrzeju, dopomogę ile sił; rozmówcie się tylko ze sołtysem; wszakże to tu idzie i o dobro bliźniego, nie tylko ciała, ale i duszy.

RÓŻNOŚCI.

Panu Bogu pół świeczki a djabłu aż dwie. Do Walka Zalejpałkę przychodzą z bractwa kościelnego gospodarze i mówią:

— Bądźcie łaskawi gospodarzu na światło do Pana Jezusa.

Walek dał pół złotego, wymawiając się okrutnie, iż ani grosza nie ma więcej, że bieda okrutna i soli nawet nie ma za co kupić.

— Bóg zapłać i za to — mówią gospodarze i poszli.

Wnet nadchodzi Jacek Moczymorda, pijanica, i mówi do Walka:

— Ej! kumciu chodźmy na kieliszek.

Kumcio poskrobał się w czuprynę, zaśmiał wesoło, i zapomniawszy o wszelkiej biedzie, wziął dwa złote w kieszeń, i jeszcze przed wieczorem leżał pianiuteńki pod ławą u żyda.

Otóż macie ludzkie nabożeństwo. Dla Pana Boga ledwie zdobył się Walek na pół złotego, i już to miał sobie za wielką ofiarę. A dla djabła ani chwili nie pożałował dwóch złotych. Piękny też to będzie rachunek na tamtym świecie.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**